

CYKL Z NADKOMISARZEM ZAKRZEWSKIM

Mieczysław

GORZKA

**POLOWANIE
NA PSY**



BUKOWY LAS

I

Blask nadchodzącego świtu rozjaśniał wschodnią stronę nieba.

Policyjny radiowóz mknął pustą o tej porze drogą krajową numer osiem z Wrocławia w kierunku Łagiewnik. Właśnie minęli po prawej stronie Kobierzyce i auto podskoczyło na torach kolejowych, przecinających w tym miejscu jezdnię. Siedzący na fotelu pasażera komisarz Marcin Zakrzewski zaklął głośno, gdy trochę kawy wylało mu się ze styropianowego kubka na spodnie.

– Wolniej, zabijesz nas – warknęła z tylnego siedzenia aspirant Karina Buczko.

– Przepraszam – rzucił znad kierownicy posterunkowy i zwolnił.

Marcin nie zwrócił uwagi na niespokojne spojrzenie, jakim obrzucił go kierowca, ponieważ patrzył w tylne lusterko na Karinę. Podkrążone oczy i bladość na policzkach sugerowały, że niewiele spała tej nocy. W palcach nerwowo obracała papierosa, jakby nie mogła się doczekać, kiedy wreszcie go zapali i zaciągnie się dymem. Chciał o coś zapytać, lecz widząc jej minę, ugryzł się w język. Potem na pewno będzie miał okazję. Bez świadków.

Napił się kawy i spojrzął na zegarek. Była szósta siedemnaście. Koła szumiały na mokrym asfalcie, porywy chłodnego wiatru zrywały z drzew pożółkłe liście i ciskały je przed maskę samochodu. Typowy poranek, jakich wiele w drugiej połowie listopada. Taki, w którym sam widok z okna zniechęca

do wstawania z łóżka. Telefon obudził Marcina już przed piątą. Kilka słów wypowiedzianych przez dyżurnego sprawiło, że sen odplynął w sekundę. Radiowóz zjawił się pod jego domem przy Kossak-Szczuckiej kilka minut przed szóstą. Karina była już w środku. Po drodze zajechali na stację Orlenu po kawę.

Gdy zbliżyli się do miejscowości Cieszyce, posterunkowy zwolnił jeszcze bardziej. Po lewej był pusty parking dla tirów z zamkniętym o tak wczesnej porze barem Pod Topolami, po czym wjechali do strefy zabudowanej. Droga przez chwilę prowadziła tuż przy budynkach mieszkalnych, które kończyły się po kilkudziesięciu metrach. Minęli skład materiałów budowlanych i jechali dalej po lekkim łuku w prawo.

Miejsce, do którego zmierzali, zobaczyli z daleka. Krótki, wąski parking położony po prawej stronie, równoległe do szosy. Pewnie nigdy wcześniej nie stało tu tyle policyjnych aut. Dwa wozy drogówki blokowały wjazd na parking z obu stron, kolejny radiowóz stał tuż przy linii jezdni. Posterunkowy mocno przyhamował, jakby przestało mu się spieszyć. Im byli bliżej, tym więcej szczegółów dostrzegali. Mniej więcej na środku parkingu jeden z radiowozów był ogrodzony policyjnymi taśmami. Przestrzeń między autem od strony pasażera a polem zasłaniały parawany, jak przy wypadkach drogowych. Tylko że to nie był wypadek.

Minęli auto drogówki i zaparkowali tuż za nim. Wysiedli i stanęli obok siebie, rozglądając się w milczeniu. Marcin dopił resztę kawy, nie miał co zrobić z kubkiem, więc postawił go na dachu radiowozu. Od pola powiał wiatr, niosąc ze sobą zerwane z drzew liście; kubek sfrunął i potoczył się po jezdni. Po chwili zmiażdżyły go koła przejeżdżającego tira. Karina wreszcie zapaliła papierosa i zaciągała się, jakby to miał być jej ostatni w życiu. Byli tu jedynymi policjantami po cywilnemu, więc zawiesili sobie na szyi odznaki. W różnych częściach parkingu stało kilku mundurowych z ponurymi minami. Nikogo nie było przy parowanie. Domyślali się dlaczego.

Powoli podszedł do nich szpakowaty policjant mniej więcej w wieku Marcina. Był blady, miał przekrwione białka oczu i tak zaciśnięte szczęki, że z trudem wypowiadał słowa. Uściśnął dłoń Karinie, potem Marcinowi.

– Jaskulski, posterunek w Kobierzycach – rzucił krótko bez żadnych ozdobników.

Po trzech gwiazdkach na pagonach poznali, że jest komisarzem. Pewnie był tu najstarszy stopniem.

– Buczko.

– Zakrzewski.

Z hukiem minęła ich ciężarówka, zagłuszając prezentację. Kolejny powiew wiatru przyniósł nową partię liści. Było cholernie zimno i dopiero teraz to poczuli.

Marcin wskazał wzrokiem parawany.

– Pójdiesz z nami? – zapytał.

– Nie. – Komisarz Jaskulski uciekł spojrzeniem w bok. – Już widziałem i na razie mi wystarczy.

– J-jasne.

Ruszyli, czując na sobie wzrok innych policjantów. Zatrzymali się przed taśmami otaczającymi radiowóz. Omietli spojrzeniami asfalt aż do parawanów.

– Idziemy? – Karina podniosła wzrok na Marcina.

– Tylko ostrożnie, żeby nam później Marta głów nie pourywała, jak coś zادةczemy.

Karina przeszła pod taśmą, a Zakrzewski zdecydował się na wielki krok górą. Taśma była dość wysoko, zahaczył o nią butem, zachwiał się i taśma się urwała. Klnąc, poszedł za Kariną.

Wystarczył rzut oka i już wiedział, dlaczego Jaskulski nie chciał drugi raz oglądać tego widoku. To przecież byli jego ludzie, z którymi pracował od dawna.

Dwa ciała w pokrzwawionych mundurach leżały obok siebie, jakby zabójca specjalnie je tak ułożył. Po dystynkcjach poznali, że ciało leżące bliżej należało do starszego sierżanta Pawła

Wojnara. Jego głowa była nienaturalnie odchylona do tyłu, usta otwarte. Trafiło go co najmniej sześć kul. Miał cztery krwawe ślady na piersiach i dziurę w skroni. Pocisk, który rozorał mu pachwinę, musiał uszkodzić tętnicę, ponieważ Wojnar leżał w wielkiej kałuży zakrzepłej krwi. Jej ślady znajdowały się z boku samochodu, na asfalcie i na poboczu w pewnym oddaleniu od ciała. Drugim zamordowanym był sierżant Jacek Dylong. Leżał na boku, z twarzą zwróconą do ziemi, z rękami nad głową i nogami ułożonymi tak, jakby chciał przybrać postawę zasadniczą. Przynajmniej takie skojarzenie przemknęło Zakrzewskiemu przez myśl. Prawy but znajdował się w odległości około dwóch metrów od ciała. Ślady krwi na asfalcie świadczyły o tym, że zwłoki zostały przeciągnięte sprzed maski pojazdu aż do tego miejsca. But musiał zsunąć się po drodze. Być może zabójca specjalnie tak ułożył Dylonga. A może był to zupełny przypadek.

Karina Buczko głośno przełknęła ślinę. Marcin stał, czując narastającą wściekłość. Zabójstwo gliniarza zawsze było wstrząsem dla innych policjantów. Zawsze wywoływało szczególne wzburzenie i niepohamowany gniew. Jeśli ginął policjant, zabójca nigdy nie mógł czuć się bezpiecznie. Mógł być pewien, że będzie ścigany przez wszystkich mundurowych w kraju, zawsze i wszędzie, już do końca świata. Dla takich zbrodni nie było umorzenia, policja nigdy nie zapominała. Zabójstwo policjanta było złamaniem pewnego tabu, naruszeniem nietykalności całej instytucji. Zabijając policjanta, sprawca musiał wiedzieć, że właśnie budzi najgorsze bulteriery, które już nigdy nie przestaną za nim węszyć.

Zakrzewski był właśnie takim policyjnym bulterierem. Psem, który nigdy nie odpuszcza, dla którego tropienie zbrodni jest jedynym zajęciem nadającym życiu sens. Nie miał prywatnego życia i już dawno się z tym pogodził. Był czas, kiedy próbował walczyć, zastanawiał się, czy nie zmienić pracy, szarpał się, oszukiwał samego siebie, że będzie mu lepiej, zacnie żyć inaczej. Długo trwało, zanim ostatecznie uświadomił sobie, że nie jest w stanie się

zmienić, i pogodził się z tą myślą. Chaos i cierpienie napędzały go do działania. Jak chcesz iść do przodu, nie ma, że boli.

Ocknął się z rozmyślań, kiedy stojąca obok Karina Buczko zapaliła kolejnego papierosa i szturchnęła go w ramię. Odeszła kawałek do tyłu, poza granicę wyznaczoną przez taśmy. Najpierw technicy musieli zabezpieczyć ślady, a prokurator z lekarzem sądowym zdecydować o przewiezieniu obu ciał na sekcję zwłok do Zakładu Medycyny Sądowej. Technicy już wyjechali z Wrocławia i powinni dotrzeć lada moment. Zwykle dłużej czekało się na prokuratora, lecz Marcin podejrzewał, że w tym przypadku pojawi się na miejscu wyjątkowo szybko.

Zabójstwo dwóch policjantów, zastrzelonych z zimną krwią na przydrożnym parkingu, na długo wstrząśnie opinią publiczną w całym kraju. Nie miał wątpliwości, że schwywanie zabójcy jest kwestią najbliższych dni, jeśli nie godzin. Policja musiała wykazać się wyjątkową skutecznością. Po to, żeby podnieść morale funkcjonariuszy i pokazać swoją moc. Po to, żeby zniechęcić do podobnych zbrodni w przyszłości.

Dlatego tuż po znalezieniu zwłok około czwartej rano odbyła się szybka telefoniczna narada komendanta wojewódzkiego z naczelnikiem wydziału kryminalnego. Sprawę miał poprowadzić najlepszy, najbardziej doświadczony i najskuteczniejszy śledczy. Aktualnie był tylko jeden kryminalny, o którym można było to powiedzieć – Zakrzewski. Komendant wojewódzki gwarantował kadry, sprzęt, środki finansowe i stawiał tylko jeden warunek: szybkie ujęcie sprawcy.

Zanim Karina zdążyła coś powiedzieć, stanął obok nich komisarz Jaskulski. Marcin wcisnął ręce głęboko w kieszenie spodni, jakby dzięki temu miało mu się zrobić cieplej. Policjantce wydawało się, że wiatr znowu przybrał na sile. Słońce, obiecujące wcześniej pogodny dzień, skryło się za całunem szarych obłoków.

– Co o tym sądzicie? – zapytał miejscowy policjant.

Zakrzewski wzruszył tylko ramionami, wpatrzony gdzieś przed siebie. Kilkaset metrów dalej droga wspinała się na pagórek i mijala kopalnię piasku. Pamiętał, że kiedy ostatnio tamtędy przejeżdżał, przy bramie stały dwa działa z czasów wojny.

– Kiedy meldowali się ostatni raz? – zapytała Karina.

– Wczoraj około dwudziestej drugiej.

– Jest w tym coś niepokojącego...

Jaskulski spojrział na Karinę i przeniósł wzrok na milczącego Marcina.

– Nie rozumiem, co?

– Oni nawet nie mieli rozpiętych kabur – odparł Zakrzewski.

– Ale co to ma do rzeczy?

– Dużo. – Karina znowu zapaliła cienkiego papierosa. – Zostali zastrzeleni po zmroku, na pustym parkingu, w dość odludnym miejscu. Jeśli zatrzymali się tutaj, żeby kogoś skontrolować, nie zachowali ostrożności. Obaj wysiedli z wozu i zamknęli drzwi.

– Skąd to wiecie?

– Dylong zginął dwa metry przed maską radiowozu, Wojnar w miejscu, w którym stał – wyjaśnił Zakrzewski. – Gdyby drzwi były otwarte, mógłby się za nimi schować i nie dostałby kuli w tętnicę udową.

Komisarz Jaskulski milczał przez jakiś czas. Patrzył po twarzach swoich ludzi, na których malowały się wściekłość i chęć natychmiastowej zemsty.

– Jak według was do tego doszło? – odezwał się po dłuższej chwili.

Zakrzewski nie odpowiedział, zapatrzony gdzieś w dal. Wyobrażenia podpowiadała mu, jak ta scena mogła wyglądać.

Okolo dziewięciu godzin wcześniej wóz patrolowy numer 117 jechał krajową ósemką w kierunku Kobierzyc. Sierżant Jacek Dylong mocno naciskał pedał gazu, aż wreszcie gdzieś na wysokości Jordanowa Śląskiego utknęli za trzema tirami, wlokącymi się jeden za drugim. Dylong dwa razy przymierzał się do wyprzedzania, ale

dał sobie spokój. Taki manewr w zupełnych ciemnościach, na wąskiej i krętej drodze graniczył z szaleństwem. Sierżant zaklął tylko i dostosował prędkość do jadących z przodu. Po chwili za nimi ciągnął już cały sznur pojazdów. Widok policyjnego radiowozu skutecznie zniechęcał do niebezpiecznych manewrów.

Przez radio odezwał się dyżurny:

– Sto siedemnaście, gdzie jesteście?

Wojnar sięgnął po nadajnik, ziewając przy tym szeroko.

– Tu sto siedemnaście, niedaleko. Kończymy służbę.

– Mielście jakieś problemy?

– Jak zwykle. On nawalony jak meserszmit, ona wściekła, że sam wszystko wypił. Awantura gotowa.

– To już czwarty raz w tym miesiącu – jęknął dyżurny. – Musimy coś z tym zrobić. Szerokiej drogi.

– Przyjąłem, bez odbioru.

Tiry zwolniły przy kopalni piasku po prawej stronie. Dylong zaklął pod nosem i wcisnął mocno hamulec. Po chwili przyspieszyli, zjeżdżając z górki w kierunku Cieszyc. Gdy mijali parking po lewej stronie drogi, Wojnar nagle chwycił kolegę za ramię.

– Ktoś tam do nas machał!

Dylong, skupiony na prowadzeniu auta i oślepiiony światłami nadjeżdżających z naprzeciwka pojazdów, niczego nie zauważył.

– Gdzie? – zapytał niechętnie.

– Na parkingu. Zawróć, chyba coś się stało!

– Cholera jasna, tu nie ma gdzie...

Musieli przejechać przez centrum miejscowości, gdzie droga prowadziła między domami. Zawrócili na parkingu przy barze Pod Topołami. Już z daleka w świetle reflektorów jadących z naprzeciwka samochodów widzieli ciemny zarys auta i sylwetkę człowieka. Zatrzymali się kilka metrów przed nim. Światła radiowozu padły na czarne audi, lata świetności mające już dawno za sobą. Mężczyzna w czapce z daszkiem stał trochę bliżej. Osłaniał twarz ramieniem. Dylong zmienił światła na postojowe,

otworzył drzwi i wysiadł, wkładając czapkę. Wojnar bez wahania poszedł w jego ślady.

– Sierżant Jacek Dylong, posterunek policji w Kobierzycach, pan nas wzywał?

– Tak. – Głos mężczyzny drżał, jakby starał się zapanować nad zdenerwowaniem. – Panowie, stało się coś strasznego.

Dylong postąpił jeszcze krok do przodu. Oślepiły go światła ciężarówki, zjeżdżającej z górki od strony piaskowni. Ciągle nie widział twarzy mężczyzny.

– Proszę się uspokoić i opowiedzieć, co się stało. – W jego głosie zabrzmiały pewność siebie i profesjonalizm.

– Kiedy właśnie nie wiem. Coś... – rzucił bezradnie mężczyzna.

Zapadła ciemność, rozświetlona tylko postojowymi światłami radiowozu. Przez chwilę główną drogą nic nie jechało.

– Proszę się nie denerwować... – zaczął Dylong, zbliżając się jeszcze bardziej do mężczyzny, i zamilkł nagle.

Nieznajomy wykonał niedostrzegalny w ciemnościach gest, a potem nagle rozległ się huk i lufa trzymanego przez niego pistoletu plunęła ogniem. Sierżant Jacek Dylong dostał w brzuch, jęknął, pochylił się do przodu i upadł bokiem na asfalt.

– Jezus Maria! – krzyknął Wojnar, lecz nie zdążył zareagować.

Czarna postać z twarzą przysłoniętą daszkiem czapki skończyła w jego stronę, a z lufy pistoletu znowu buchnął ogień. Raz, drugi, trzeci. Pierwszy pocisk trafił Wojnara w pierś, drugi w skroń, trzeci w pachwinę. Pchnięty uderzeniami pocisków policjant zatoczył się do tyłu i upadł na plecy obok auta, nie wydając z siebie żadnego dźwięku. Krew z uszkodzonej tętnicy tryskała wokoło przez dziurę w spodniach.

Od strony Cieszyc nadjechało kilka aut i minęło ich z szumem. Potem kilka innych pojazdów minęło parking, jadąc w przeciwnym kierunku. Zabójca czekał cierpliwie, aż ruch ustanie. Wtedy podszedł do Dylonga, chwycił go za ręce i pociągnął.

Policjant zawył z bólu. Z jego ust popłynął ciąg niewyraźnych przekleństw i zawodzenie.

– Kurwa... ja pierd... Jezu... co ty? Aaaagh...!!

Zabójca pozostawił Dylonga obok ciała Wojnara, wstrząsanego przedśmiertnymi drgawkami i leżącego w czarnej kałuży krwi. Cofnął się dwa kroki, odczekał długie kilkanaście sekund, aż na głównej drodze ponownie zrobi się pusto, i oddał jeszcze kilka strzałów.

Czarne bmw z przyciemnionymi szybami zatrzymało się na skraju parkingu. Prokurator śledczy Ireneusz Paleczny wyglądał na trzydzieści pięć lat, miał czarne, starannie przystrzyżone włosy, ciemną cerę, a ubiorem niebezpiecznie przypominał Marcinowi prokuratora Wysockiego.

– Skąd on ma taką furę? – wycodziła przez zęby Karina.

– Pewnie z prokuratorskiej pensji – rzucił ironicznie Marcin.

Jaskulski najwyraźniej stwierdził, że nie chce być świadkiem ich rozmowy, ponieważ bez słowa odszedł do swoich ludzi. Paleczny skinął głową Marcinowi i Karinie, poszedł obejrzeć zwłoki, po czym wolno zbliżył się do policjantów. Z trudem panował nad zdenerwowaniem. Nawet jego głos zabrzmiał inaczej niż zwykle. Jakby należał do czarnego charakteru z kreskówek dla dzieci.

– Jak to się, cholera, stało?

W nozdrza policjantów uderzył zapach mocnych perfum pomieszanych z gumą miętową. Karina z trudem się powstrzymała, żeby nie zrobić kroku w tył. Nie tolerowała takich zapachów.

– Tego jeszcze nie wiemy. – Zakrzewski wzruszył ramionami.

Jakiś czas temu nowy prokurator generalny zaczął wprowadzać swoje porządki. Kilku prokuratorów z prokuratury rejonowej zostało oddelegowanych do pracy w mniejszych jednostkach na Dolnym Śląsku. Prokurator Marek Grabski tak właśnie pożegnał się z pracą we Wrocławiu. W ich miejsce pojawili się nominaci nowej władzy. Paleczny był jednym z nich. Marcin dotąd

z nim nie pracował, więc na razie nie mógł stwierdzić, czy go lubi. Miał nadzieję, że Paleczny nie został nominowany na zasadzie: mierny, ale wierny. Innym pytaniem było, czy szef go lubi, skoro wytypował go do sprawy, o której od razu było wiadomo, że albo będzie początkiem jego kariery, albo skutecznie na kilka lat mu ją utraci. No, chyba że Paleczny ma mocne plecy i ewentualna porażka mu nie zaszkodzi. Patrząc na jego zdenerwowanie, Marcin bardzo wątpił w tę drugą ewentualność.

– Proszę przyjechać do mnie na dwunastą. Ustalimy plan śledztwa. Chciałbym, żeby codziennie osobiście informował mnie pan o postępach.

Karina spojrzała w szare niebo, a Zakrzewski w ciemne oczy prokuratora.

– Nie. – Pokręcił głową.

– Słucham? – Paleczny widać nie przywykł, żeby ktoś mu się sprzeciwiał, bo zdziwiony wybałuszył oczy na Marcina.

– Proszę mnie posłuchać, prokuratorze. – Marcin wolno cedził słowa. – Nie będę się z panem spotykał tylko po to, żeby pogadać o niczym i napić się kawy. Wybacz pan, ale szkoda mi czasu. Spotkamy się, jak już przeanalizujemy ślady zebrane na miejscu przestępstwa, będziemy mieli jakieś poszlaki i pomysł, co dalej. Wtedy pan zatwierdzi mój plan śledztwa.

– Pan się chyba zapomina... – Prokurator nie dokończył.

– Nie zapominam się. Chcę po prostu szybko dorwać tego skurwysyna, który zabił naszych chłopaków. Chciałbym, żeby pan mi pomógł, a nie przeszkadzał. Będzie jeszcze dużo roboty przy przesłuchaniach świadków, potem przy akcie oskarżenia i na procesie, więc będzie okazja się wykazać. Oficjalnie nie musi pan przekazywać prowadzenia sprawy policji, ale do pracy operacyjnej proszę się nam nie wtrącać.

Prokurator Paleczny otworzył usta i zaraz je zamknął, nie wydając nawet dźwięku. Spojrzył na Karinę. Policjantka nie błędziła już wzrokiem po niebie, tylko patrzyła mu twardo w twarz.

– W niczym nie może pan teraz pomóc – rzuciła.

– Nam też zależy, żeby szybko schwycić zabójcę – dodał Marcin. – Jak nam się uda, będzie się pan miał czym chlubić, a nie każdy młody prokurator może się pochwalić takim sukcesem. Proszę pomyśleć.

Prokurator rozejrzał się wokół, jakby sprawdzając, czy nikt nie słyszy tej rozmowy. Inni stali za daleko. Poza tym przejeżdżające co chwilę samochody skutecznie zagłuszały wszystkie dźwięki.

– Będą naciski z góry – odezwał się wreszcie. – Będzie o tym głośno w mediach.

– Właśnie tutaj liczyłbym na pana wydatną pomoc w najbliższych dniach. – Zakrzewski nadal mierzył prokuratora bezczelnym spojrzeniem. – Będzie pan mógł się wykreować na mocnego faceta, który trzyma śledztwo w garści.

Prokurator Paleczny wciąż patrzył to na Karinę, to na Marcina. Wahał się, jak zareagować na takie postawienie sprawy. Wreszcie wybrał najlepszą dla nich opcję. Wyciągnął z kieszeni wizytówkę i podał Marcinowi.

– Proszę do mnie zadzwonić, kiedy będziemy mogli porozmawiać o planie śledztwa – mówił tak cicho, że jego głos z trudem przebijał się przez hałas z głównej drogi. – Chciałbym być w miarę często informowany, muszę wiedzieć...

– Oczywiście – przerwał mu Zakrzewski. – Ma pan wgląd do akt sprawy na każdym etapie, zapraszam na wszystkie narady zespołu śledczego w komendzie wojewódzkiej.

Kolejne dwa auta zajęły na parking. Prokurator odszedł w kierunku patologa gramolącego się z pierwszego z nich. Drugie należało do techników kryminalistyki. Jako pierwsza wysiadła drobna kobieta z włosami ufarbowanymi na niebiesko. Marta Mickiewicz, od niedawna nowa szefowa techników. Skinęła im głową i zaraz pogoniła swoich ludzi do pracy. Po chwili, ubrani w kombinezony przypominające

stroje laborantów pracujących przy badaniu najgroźniejszych wirusów w ściśle tajnym laboratorium w Wuhan, przeszukiwali miejsce przestępstwa.

– Bałam się, że nie pęknie.

– Tacy zawsze pękają. – Marcin wzruszył ramionami. – Mam tylko nadzieję, że się potem nie rozmyśli i nie będzie nam zbytnio przeszkadzał.

– Nie wiadomo.

Komisarz Zakrzewski skinął na Jaskulskiego. Ten podszedł do nich z ociąganiem.

– Komisarzu Jaskulski, nie ma sensu robić tu niepotrzebnego zamieszania. – Marcin spojrzał na niego z góry. – Proszę zająć czymś swoich ludzi.

Miejscowy policjant popatrzył na niego, jakby nie rozumiał.

– Lepiej niż my znacie okolicznych mieszkańców. – Karina mówiła wolno i wyraźnie. – Niech pan wyśle swoich policjantów do wsi, może ktoś coś widział. Poza tym jak najszybciej potrzebujemy informacji o ofiarach. Czy mieli wrogów, może długi, podejrzone kontakty, czy mogli się komuś narazić, żony, kochanki, prostytutki, hazard? Nie muszę chyba mówić więcej?

Jaskulski poczerwieniał na twarzy.

– Nie – wycedził przez jeszcze bardziej zaciśnięte szczęki.

– Przyślę panu człowieka, który będzie koordynował wasze działania. To młodszy aspirant Adam Wiliczkowski. Będziecie raportować mu o wszystkim, on zdecyduje, co jest ważne.

Komisarz Jaskulski spojrzał na nich prawie wrogo.

– Nie mieszkamy na zadupiu – warknął. – Znamy się na policyjnej robocie.

– Bez urazy, Jaskulski. – Zakrzewski patrzył na niego zimno. – Ja nie powiedziałem, że się nie znacie. Po prostu uważam, że możecie być nieobiektywni. To byli wasi koledzy z pracy. Popatrz po swoich ludziach. Są wstrząśnięci, wściekli i żądni zemsty. Pójdą w teren i jak znam życie, będą

nadgorliwi. Będą zwracać uwagę na bzdury i mogą przeoczyć coś ważnego albo zasypią nas drobiazgami. Nie chcę tracić czasu na oddzielanie informacji wartościowych od nieistotnych. Tym zajmie się Wiliczkowski. On jest z zewnątrz i potrafi zachować dystans.

Komisarz patrzył na Zakrzewskiego w skupieniu, jakby oceniał szczerść jego słów. Marcin zazwyczaj wzbudzał zaufanie. Tak było i tym razem. Z Jaskulskiego zeszło trochę powietrze, bąknął coś pod nosem i odszedł. Po chwili jeden z radiowozów odjechał. Czterech policjantów na razie zostało, ponieważ Marta Mickiewicz zaangażowała ich do przeszukania przydrożnych krzaków, rowu i fragmentu przyległego pola.

– No to ustawiliśmy wszystkich, zadowolony? – odezwała się Karina.

– J-jasne – burknął w odpowiedzi. – Trzeba jeszcze ustawić Martę.

– Jej nie musisz. Za kilka godzin będziesz miał szczegółowy raport. Powiedz, co ty jej zrobiłeś, że ona cię tak lubi?

– Postawiłem piwo. – Marcin wzruszył ramionami, rozbudzając tylko jej ciekawość. – A tobie co się stało?

– Takie tam, nieistotne teraz problemy. – Karina zbagatelizowała jego pytanie. – Zabili naszych, to jest priorytet.

– Czyli coś jest na rzeczy?

– Ale ty jesteś upierdliwy – zachnęła się. – Mam małe problemy w związku, wystarczy?

– Na teraz wystarczy.

Patrzyli na techników pochylonych nad ciałami.

– Co o tym sądzisz? – rzuciła. – Zlecenie czy przypadek?

– Moim zdaniem przypadek. Znaleźli się w niewłaściwym miejscu o niewłaściwym czasie.

– Tylko dlaczego musieli zginąć?

– Jeszcze nie wiem. Myślę jednak, że to będzie prosta sprawa.

– Chyba że będą komplikacje.

W tej chwili jeden z policjantów przeszukujących krzaki wyprostował się i krzyknął:

– Tutaj!

Technik w białym kombinezonie podszedł do niego i po chwili pakował do foliowych woreczków dwie policyjne czapki należące do ofiar. Marta Mickiewicz skinęła ręką na Buczko i Zakrzewskiego. Podeszli, stanęli przed parawanami i ponownie spojrzeli na ciała zamordowanych. Karinę przeszedł nieprzyjemny dreszcz. Marta ściągnęła maseczkę z twarzy, wskazała umazane krwią drzwi radiowozu i zapytała z zagadkowym wyrazem twarzy:

– Zauważyliście to?

Karina tylko zaklęła pod nosem. Marcin od razu wiedział, że oto właśnie pojawiły się te nieprzewidywalne komplikacje.

Na pierwszy rzut oka wyglądało to na zwykły rozbryzg krwi na karoserii. Dopiero po dokładniejszym przyjrzeniu się można było coś w nim wyczytać. Sprawca napisał krwią kilka cyfr.

To była data: 8-12-1981.

GRUDZIEŃ 1981

– Obywatelu kapitanie!

Głos pochodził gdzieś z zaświatów. Docierał do mózgu z dużym opóźnieniem, jakby rozmyty i rozciągnięty w czasie. Na początku myślał, że to po prostu jeden z elementów pijackiego koszmaru. Dopiero kiedy dźwięk natarczywie powtórzył się kilka razy, któraś część obolałego mózgu słusznie uznała, że być może dochodzi z jakiegoś innego wymiaru, z zewnątrz.

– Obywatelu kapitanie! Proszę się obudzić! Halo!

Nieprzyjemne uczucie mdłości nie brało się znikąd. Szarpanie za ramię wprowadzało żołądek w stan niepokojącego

drżenia. Wzburzona drganiem żółć zafalowała niebezpiecznie i podeszła mu do gardła. Miał uczucie, że zaraz zwymiotuje. Przełknął palący kwas i to go trochę otępiło.

– Kapitanie! Nie ma czasu!

Znowu to cholerne szarpanie za ramię. Z trudem wyciągnął rękę i odepchnął mężczyznę, który przysiadł na skraju jego łóżka. Puścił mu przy tym niewyraźnie wiązaną najbardziej niecenzuralnych słów, na jakie było go w tej chwili stać. Niestety, nie pozbył się natręta. Facet coś poburczał pod nosem i dalej próbował go obudzić.

WYDAWNICTWO BUKOWY LAS



wydawnictwobukowylas



bukowy.las

www.bukowylas.pl

KUP TERAZ



swiatksiazki.pl



CZY ZABIJĘ JESZCZE RAZ? NA PEWNO. JUŻ SZUKAM NOWEJ OFIARY...

Na początku grudnia 1981 roku we Wrocławiu zostaje zamordowane starsze małżeństwo. Sprawę prowadzi doświadczony oficer MO kapitan Marek Piekło wraz z sierżantem Tadeuszem Majerem. Piekło pije i niełatwe śledztwo jest ostatnią rzeczą, którą chce się zajmować. Wprowadzenie stanu wojennego jeszcze bardziej wszystko komplikuje. Do śledztwa wtrąca się Służba Bezpieczeństwa. A morderca uderza ponownie.

Współcześnie komisarz Marcin Zakrzewski prowadzi dochodzenie w sprawie zabójstwa funkcjonariuszy. Morderca ogłosił, że nie zatrzyma się aż do czasu, gdy policja odnajdzie zabójcę z początku lat osiemdziesiątych. Zakrzewski próbuje rozwiązać dwie zagadki, tę sprzed lat i obecną, zanim pojawią się kolejne ofiary. Jeszcze nie wie, o jak wielką stawkę toczy się gra.

Nr 21000200

ISBN 978-83-8074-697-8



9 788380 746978



bukowylas.pl

Cena: 49,90 zł